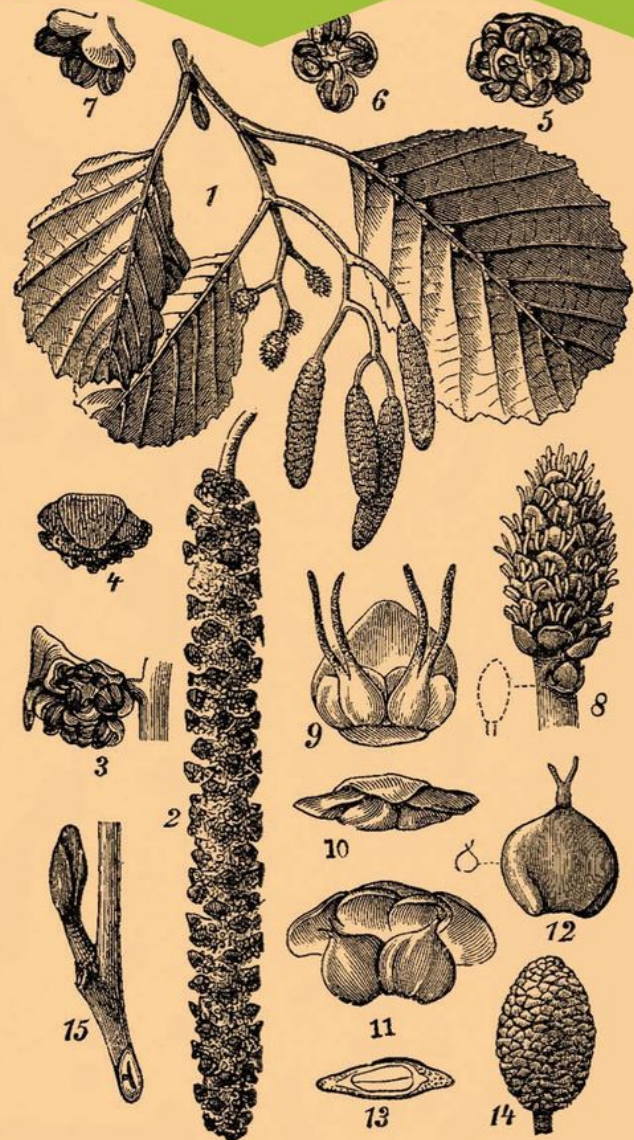


Sierpień



1. Ольха черная (*Alnus glutinosa*).



BRUNO SCHULZ

SKLEPY CYNAMONOWE

Sierpień

I

W lipcu ojciec mój wyjeżdżał do wód i zostawiał mnie z matką i starszym bratem na pastwę białych od żaru i oszałamiających dni letnich. Wertowaliśmy, odurzeni światłem, w tej wielkiej księżde wakacji, której wszystkie karty pały od blasku i miały na dnie słodki do omdlenia miąższ złotych gruszek.

Adela wracała w świetliste poranki, jak Pomona¹ z ognia dnia rozżagwionego², wysypując z koszyka barwną urodę słońca — lśniące, pełne wody pod przejrzystą skórką czerwienie, tajemnicze, czarne wiśnie, których woń przekraczała to, co ziszczało się w smaku; morele, w których miąższu złotym był rdzeń długich popołudni; a obok tej czystej poezji owoców wyładowywała nabrzmiałe siłą i pożywnością płaty mięsa z klawiaturą żeber cielejących, wodorosty jarzyn, niby zabite głowonogi i meduzy — surowy materiał obiadu o smaku jeszcze nie uformowanym i jałowym, wegetatywne³ i, telluryczne⁴ ingrediencje⁵ obiadu o zapachu dzikim i polnym.

Przez ciemne mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy w rynku przechodziło co dzień na wskroś całe wielkie lato: cisza drgających słoików powietrznych, kwadraty blasku, śniące żarliwy swój sen na podłodze; melodia katarynki, dobyta z najgłębszej złotej żyły dnia; dwa, trzy takty refrenu, granego gdzieś na fortepianie wciąż na nowo, mdlejące w słońcu na białych trotuarach⁶, zagubione w ogniu dnia głębokiego. Po sprzątaniu Adela zapuszczała cień na pokoje, zasuważąc płócienne story. Wtedy barwy schodziły o oktawę głębiej, pokój napełniał się cieniem, jakby pogrążony w światło głębi morskiej, jeszcze mętniej odbity w zielonych zwierciadłach, a cały upał dnia oddychał na storach, lekko falujących od marzeń południowej godziny.

W sobotnie popołudnia wychodziłem z matką na spacer. Z półmroku sieni wstępowało się od razu w słoneczną kąpiel dnia. Przechodnie, brodząc w złocie, mieli oczy zmrużone od żaru, jakby zalepione miodem, a podciągnięta górna warga odsłaniała im dziąsła i zęby. I wszyscy brodzący w tym dniu złocistym mieli ów grymas skwaru, jak gdyby słońce nałożyło swym wyznawcom jedną i tę samą maskę — złotą maskę bractwa słonecznego; i wszyscy, którzy szli dziś ulicami, spotykali się, mijali, starcy i młodzi, dzieci i kobiety, pozdrawiali się w przejściu tą maską, namalowaną grubą, złotą farbą na twarzy, szczyrzyli do siebie ten grymas bakchiczny⁷ — barbarzyńską maskę kultu pogańskiego.

Rynek był pusty i żółty od żaru, wymieciony z kurzu gorącymi wiatrami, jak bliżna pustynia. Cierniste akacje, wyrosłe z pustki żółtego placu, kipiały na nim jasnym listowiem, bukietami szlachetnie ucłonkowanych filigranów⁸ zielonych, jak drzewa na starych gobelinach⁹. Zdawało się, że te drzewa afektują wicher, wzburzając teatralnie swe

Lato, Jedzenie, Bogini

¹Pomona (mit. rzym.) — bogini urodzaju. [przypis edytorski]

²rozżagwiony — płonący; od żagiew — kawał płonącego drewna. [przypis edytorski]

³wegetatywny — tu: roślinny. [przypis edytorski]

⁴telluryczny — odnoszący się do Ziemi. [przypis edytorski]

⁵ingredienca (z łac.) — składnik. [przypis edytorski]

⁶trotuar — chodnik. [przypis edytorski]

⁷bakchiczny (mit. rzym.) — związany z Bachusem, bogiem wina. [przypis edytorski]

⁸filigran — ornament z cienkich drucików. [przypis edytorski]

⁹gobelin — tkanina dekoracyjna przedstawiająca jakąś scenę na podobieństwo obrazu. [przypis edytorski]

korony, ażeby w patetycznych przegięciach ukazać wytworność wachlarzy listnych o srebrzystym podbrzuszu, jak lustra szlachetnych lisic. Stare domy, polerowane wiatrami wielu dni, zabarwiały się refleksami wielkiej atmosfery, echemi, wspomnieniami barw, rozproszonymi w głębi kolorowej pogody. Zdawało się, że całe generacje dni letnich (jak cierpliwi sztukatorzy¹⁰, obijający stare fasady z pleśni tynku) obtłukiwały kłamiwą glazurę¹¹, wydobywając z dnia na dzień wyraźniej prawdziwe oblicze domów, fizjonomię losu i życia, które formowało je od wewnątrz. Teraz okna, oślepione blaskiem pustego placu, spały; balkony wyznawały niebu swą pustkę; otwarte sienie pachniały chłodem i winem.

Kupka obdartusów, ocalała w kącie rynku przed płomienną miotłą upału, oblegała kawałek muru, doświadczając go wciąż na nowo rzutami guzików i monet, jak gdyby z horoskopu tych metalowych krążków odczytać można było prawdziwą tajemnicę muru, porysowanego hieroglifami¹² rys i pęknięć. Zresztą rynek był pusty. Oczekiwało się, że przed tę sień sklepioną z beczkami winiarza podjedzie w cieniu chwiejących się akacji osiołek samarytanina¹³, prowadzony za uzdę, a dwóch pacholków zawlecze troskliwie chorego męża z rozpalonego siodła, ażeby go po chłodnych schodach wnieść ostrożnie na pachnące szabasem¹⁴ piętro.

Tak wędrowaliśmy z matką przez dwie słoneczne strony rynku, wodząc nasze załamane cienie po wszystkich domach, jak po klawiszach. Kwadraty bruku miały powoli pod naszymi miękkimi i płaskimi krokami — jedne bladoróżowe, jak skóra ludzka, inne złote i sine, wszystkie płaskie, ciepłe, aksamitne na słońcu, jak jakieś twarze słoneczne, zdeptane stopami aż do niepoznaki, do błogiej nicości.

Aż wreszcie na rogu ulicy Stryjskiej weszliśmy w cień apteki. Wielka bania z sokiem malinowym w szerokim oknie aptecznym symbolizowała chłód balsamów, którym każde cierpienie mogło się tam ukoić. I po paru jeszcze domach ulica nie mogła już utrzymać nadal *decorum*¹⁵ miasta, jak chłop, który wracając do wsi rodzinnej, rozdziewa się po drodze z miejskiej swej elegancji, zamieniając się powoli, w miarę zbliżania do wsi, w obdartusa wiejskiego.

Przedmiejskie domki tonęły wraz z oknami, zapadnięte w bujnym i pogmatwanym kwitnieniu małych ogródków. Zapomniane przez wielki dzień, pleniły się bujnie i cicho wszelkie ziela, kwiaty i chwasty, rade¹⁶ z tej pauzy, którą prześnić mogły za marginesem czasu, na rubieżach nieskończonego dnia. Ogromny słonecznik, wydzwignięty na potężnej łodydze i chory na elephantiasis¹⁷, czekał w żółtej żalobie ostatnich, smutnych dni żywota, uginając się pod przerostem potwornej korpulencji¹⁸. Ale naiwne przedmiejskie dzwonki i perkalikowe¹⁹, niewybredne kwiatuszki stały bezradne w swych nakrochmalonych, różowych i białych koszulkach, bez zrozumienia dla wielkiej tragedii słonecznika.

2

Splątany gąszcz traw, chwastów, zielska i bodiaków²⁰ buzuje w ogniu popołudnia. Huczy rojowiskiem much popołudniowa drzemka ogrodu. Złote ściernisko krzyczy w słońcu jak ruda szarańcza; w rześnym deszczu ognia wrzeszczą świerszcze; strąki nasion eksplodują cicho jak koniki polne.

A ku parkanowi kozuch traw podnosi się wypukłym garbem-pagórem, jak gdyby ogród obrócił się we śnie na drugą stronę i grube jego, chłopskie bary oddychają ciszą

Lato

Chrystus

Lato, Ogród, Szaleniec,
Szalenstwo, Seks

¹⁰sztukator — rzemieślnik wyrabiający sztukaterie, zdobienia ścian i sklepień wykonane z gipsu lub stiuku. [przypis edytorski]

¹¹glazura — typ szkliva służącego do pokrywania wyrobów ceramicznych. [przypis edytorski]

¹²hieroglify — rodzaj starożytnego pisma obrazkowego. [przypis edytorski]

¹³osiołek samarytanina — fragment odnosi się do przypowieści o dobrym Samarytaninie, który jako jedyny zaopiekował się pobitym Żydem, pomimo napięć religijnych i etnicznych dzielących ówczesnie obie nacje. [przypis edytorski]

¹⁴szabas — żydowski dzień święty, wypadający w sobotę, poświęcany odpoczynkowi i modlitwie, w którym nie wolno pracować. [przypis edytorski]

¹⁵decorum — zasada dostosowania formy utworu do jego treści. [przypis edytorski]

¹⁶rad (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

¹⁷elephantiasis a. słoniuwacizna — choroba polegająca na patologicznym zgrubieniu nóg i krocza. [przypis edytorski]

¹⁸korpulencja — otyłość. [przypis edytorski]

¹⁹perkal — tanie, cienkie płótno bawełniane. [przypis edytorski]

²⁰bodiak (reg.) — gatunek ostu. [przypis edytorski]

ziemi. Na tych barach ogrodu niechlujna, babska bujność sierpnia wyolbrzymiała w głuche zapadliska ogromnych łopuchów, rozpanoszyła się ozorami mięsistej zieleni. Tam te wyłupiaste pałuby²¹ łopuchów wybałuszyły się jak babska szeroko rozsiadłe, na wpół pożarte przez własne oszalałe spódnice. Tam sprzedawał ogród za darmo najtańsze krupy dzikiego bzu, śmierdzącą mydłem, grubą kaszę babek, dziką okowitę mięty i wszelką najgorszą tandetę sierpniową. Ale po drugiej stronie parkanu, za tym matecznikiem lata, w którym rozrasta się głupota zidiociałych chwastów, było śmietnisko zarosłe dzikim bodiakiem. Nikt nie wiedział, że tam właśnie odprowiał sierpnie tego lata swoją wielką, pogańską orgię. Na tym śmietniku, oparte o parkan i zarośnięte dzikim bzem, stało łóżko skretyniałej dziewczyny Tłui. Tak nazywaliśmy ją wszyscy. Na kupie śmieci i odpadków, starych garnków, pantofli, rumowiska i gruzu stało zielono malowane łóżko, podparte zamiast brakującej nogi dwiema starymi ceglami.

Powietrze nad tym rumowiskiem, zdziczałe od żaru, cięte błyskawicami lśniących much końskich, rozwścieczonych słońcem, trzeszczało jak od nie widzianych grzechotek, podniecając do szału.

Tłuja siedzi przykucnięta wśród żółtej pościeli i szmat. Wielka jej głowa jeży się wiechciem czarnych włosów. Twarz jej jest kurczliwa jak miech harmonii. Co chwila grymas płaczu składa tę harmonię w tysiąc poprzecznych fałd, a zdziwienie rozciąga ją z powrotem, wygładza fałdy, odsłania szparki drobnych oczu i wilgotne dziąsła z żółtymi zębami pod ryjowatą, mięsistą wargą. Mijają godziny pełne żaru i nudy, podczas których Tłuja gaworzy półgłosem, drzemie, zrzędzi z cicha i chrząka. Muchy obsiadają nieruchomą gęstym rojem. Ale z nagłą ta cała kupa brudnych gałganów, szmat i strzępów zaczyna poruszać się, jakby ożywiona chrobotem lęgających się w niej szcurów. Muchy budzą się spłoszone i podnoszą wielkim, huczącym rojem, pełnym wściekłego bzykania, błysków i migotań. I podczas gdy gałgany zsypują się na ziemię i rozbiegają po śmietniku jak spłoszone szczury, wygrzebuje się z nich, odwija z wolna jądro, wyluszcza się rdzeń śmietnika: na wpół naga i ciemna kretynka dźwiga się powoli i staje, podobna do bożka pogańskiego, na krótkich, dziecinnych nóżkach, a z napęczniałej napływem złości szyi, z poczerwieniałej, ciemniejszej od gniewu twarzy, na której, jak malowidła barbarzyńskie, wykwitają arabeski²² nabrzmiiałych żył, wyrwa się wrzask zwierzęcy, wrzask chrapliwy, dobytý ze wszystkich bronchij²³ i pischczalek pół zwierzęcej, pół boskiej piersi. Bodiaki, spalone słońcem, krzyczą, łopuchy puchną i pyszną się bezwstydnym mięsem, chwasty ślinią się błyszczącym jadem, a kretynka, ochrypla od krzyku, w konwulsji dzikiej uderza mięsistym łonem w wściekłą zapalczywością w pień bzu dzikiego, który skrzypi cicho pod natarczywością tej rozpustnej chuci²⁴, zaklinany całym tym nędzarskim chórem do wynaturzonej, pogańskiej płodności.

Matka Tłui wynajmuje się gospodyniom do szorowania podłóg. Jest to mała, żółta jak szafran²⁵ kobieta i szafranem zaprawia też podłogi, jodłowe stoły, ławy i szlabany, które w izbach ubogich zmywa. Raz zaprowadziła mnie Adela do domu tej starej Maryśki. Była wczesna poranna godzina, weszliśmy do małej izby niebiesko bielonej, z ubitą polepą²⁶ glinianą na podłodze, na której leżało wczesne słońce, jaskrawożółte w tej ciszy porannej, odmierzanej przeraźliwym szczękiem chłopskiego zegara na ścianie. W skrzyni na słomie leżała głupia Maryśka, błada jak opłatek i cicha jak rękawiczka, z której wysunięto dłoń. I jakby korzystając z jej snu, gadała cisza, żółta, jaskrawa, zła cisza, monologowała, klóciła się, wygadywała głośno i ordynarnie swój maniacki monolog. Czas Maryśki — czas więziony w jej duszy, wystąpił z niej straszliwie rzeczywisty i szedł samopas²⁷ przez izbę, hałaśliwy, huczący, piekielny, rosnący w jaskrawym milczeniu poranka z głośnego młyna-zegara, jak zła mąka, sypka mąka, głupia mąka wariatów.

²¹ *pałuba* (daw.) — niezgrabna kukielka, także brzydka kobieta przypominająca kukłę. [przypis edytorski]

²² *arabeska* — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

²³ *bronchia* (łac.) — oskrzela. [przypis edytorski]

²⁴ *chuć* — popęd seksualny, podniecenie. [przypis edytorski]

²⁵ *szafran* — ciemnopomarańczowa przyprawa uzyskiwana z krokusów. [przypis edytorski]

²⁶ *polepą* — klepisko, podłoga ubita z gliny zmieszanej z sieczką. [przypis edytorski]

²⁷ *samopas* (daw.) — bez opieki. [przypis edytorski]

W jednym z tych domków, otoczonym sztachetami brązowej barwy, tonącym w bujnej zieleni ogródka, mieszkała ciotka Agata. Wchodząc do niej, mijaliśmy w ogrodzie kolorowe szklane kule, tkwiące na tyczkach, różowe, zielone i fioletowe, w których zakłute były całe świetlane i jasne światy, jak te idealne i szczęśliwe obrazy, zamknięte w niedościgłej doskonałości baniek mydlanych.

W półciemnej sieni ze starymi oleodrukami²⁸, pożartymi przez pleśń i osleplonymi od starości, odnajdowaliśmy znany nam zapach. W tej zaufanej starej woni mieściło się w dziwnie prostej syntezie życie tych ludzi, alembik²⁹ rasy, gatunek krwi i sekret ich losu, zawarty niedostrzegalnie w codziennym mijaniu ich własnego odrębnego czasu. Stare, mądre drzwi, których ciemne westchnienia wpuszczały i wypuszczały tych ludzi, milczący świadkowie wchodzenia i wychodzenia matki, córek i synów — otworzyły się bezgłośnie jak odrzwia szafy, i weszliśmy w ich życie. Siedzieli jakby w cieniu swego losu i nie bronili się — w pierwszych niezręcznych gestach wydali nam swoją tajemnicę. Czyż nie byliśmy krwią i losem spokrewnieni z nimi?

Pokój był ciemny i aksamitny od granatowych obić ze złotym deseniem, lecz echo dnia płomiennego drgało i tutaj jeszcze mosiądzem na ramach obrazów, na klamkach i listwach złotych, choć przepuszczone przez gęstą zielenią ogrodu. Spod ściany podniosła się ciotka Agata, wielka i bujna, o mięsie okrągłym i białym, cętkowanym rudą rdzą piegów. Przysiedliśmy się do nich, jakby na brzeg ich losu, zawstyżeni trochę tą bezbronnością, z jaką wydali się nam bez zastrzeżeń, i piliśmy wodę z sokiem różanym, napój przedziwny, w którym znalazłem jakby najgłębszą esencję tej upalnej soboty.

Ciotka narzekała. Był to zasadniczy ton jej rozmów, głos tego mięsa białego i płodnego, bującego już jakby poza granicami osoby, zaledwie luźnie utrzymywanej w skupieniu, w więzach formy indywidualnej, i nawet w tym skupieniu już zwielokrotnionej, gotowej rozpaść się, rozgałęzić, rozsypać w rodzinę. Była to płodność niemal samoródca, kobiecość pozbawiona hamulców i chorobliwie wybujała.

Zdawało się, że sam aromat męskości, zapach dymu tytoniowego, dowcip kawalerski mógł dać impuls tej zaognionej kobiecości do rozpustnego dzieworódtwa³⁰. I właściwie wszystkie jej skargi na męża, na służbę, jej troski o dzieci były tylko kapryszaniem i dąsaniem się nie zaspokojonej płodności, dalszym ciągiem tej opryskliwej, gniewnej i płacziwej kokieterii, którą nadaremnie doświadczała męża. Wuj Marek, mały, zgarbiony, o twarzy wyjałowionej z płci, siedział w swym szarym bankructwie, pogodzony z losem, w cieniu bezgranicznej pogardy, w którym zdawał się wypoczywać. W jego szarych oczach tlił się żar ogrodu, rozpięty w oknie. Czasem próbował słabym ruchem robić jakieś zastrzeżenia, stawiać opór, ale fala samowystarczalnej kobiecości odrzuciła na bok ten gest bez znaczenia, przechodziła triumfalnie mimo³¹ niego, zalewała szerokim swym strumieniem słabe podrygi męskości.

Było coś tragicznego w tej płodności niechlujnej i nieumiarkowanej, była nędza kreatury na granicy nicości i śmierci, był jakiś heroizm kobiecości triumfujący urodzajnością nawet nad kalectwem natury, nad insuficjencją³² mężczyzny. Ale potomstwo ukazywało rację tej paniki macierzyńskiej, tego szalu rodzenia, który wyczerpywał się w płodach nieudanych, w efemerycznej generacji fantomów³³ bez krwi i twarzy.

Weszła Łucja, średnia, z głową nazbyt rozkwitłą i dojrzałą na dziecięcym i pulchnym cieple o mięsie białym i delikatnym. Podała mi rączkę lalkowatą, jakby dopiero pączkującą, i zakwitła od razu całą twarzą, jak piwonია przelewająca się pełnią różową. Nieszczęśliwa z powodu swych rumieńców, które bezwstydnie mówiły o sekretach menstruacji, przymykała oczy i płonila się jeszcze bardziej pod dotknięciem najobojętniejszego pytania, gdyż każde zawierało tajną aluzję do jej nadwrażliwego panieństwa.

²⁸oleodruk — przemysłowo wykonana reprodukcja przypominająca obraz olejny. [przypis edytorski]

²⁹alembik — naczynie laboratoryjne służące do destylacji. [przypis edytorski]

³⁰dzieworódtwo — rozwój organizmu z komórki jajowej, która nie została zapłodniona. [przypis edytorski]

³¹mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

³²insuficjencja (z łac.) — niewystarczalność. [przypis edytorski]

³³fantom — zjawia. [przypis edytorski]

Emil, najstarszy z kuzynów, z jasnoblond wąsem, z twarzą, z której życie zmyło jakby wszelki wyraz, spacerował tam i z powrotem po pokoju, z rękami w kieszeniach fałdzistych spodni.

Jego strój elegancki i drogocenny nosił piętno egzotycznych krajów, z których powrócił. Jego twarz, zwiędła i zmętniała, zdawała się z dnia na dzień zapominać o sobie, stawać się białą pustą ścianą z bladą siecią żyłek, w których, jak linie na zatartej mapie, plątały się gasnące wspomnienia tego burzliwego i zmarnowanego życia. Był mistrzem sztuk karcianych, palił długie, szlachetne fajki i pachniał dziwnie zapachem dalekich krajów. Z wzrokiem wędrującym po dawnych wspomnieniach opowiadał przedziwne anegdoty, które w pewnym punkcie urywały się nagle, rozpręgały i rozwiewały w nicość. Wodziłem za nim tęsknym wzrokiem, pragnąc, by zwrócił na mnie uwagę i wybawił mnie z udręki nudów. I w samej rzeczy zdawało mi się, że mrugnął do mnie oczyma, wychodząc do drugiego pokoju. Podążyłem za nim. Siedział nisko na małej kozetce³⁴, z kolanami krzyżującymi się niemal na wysokości głowy, łysej jak kula bilardowa. Zdawało się, że to ubranie samo leży, fałdziste, zmięte, przerzucone przez fotel. Twarz jego była jak tchnienie twarzy — smuga, którą nieznanym przechodzień zostawił w powietrzu. Trzymał w bladych, emaliowanych błękitnie dłoniach portfel, w którym coś oglądał.

Z mgły twarzy wyłoniło się z trudem wypukłe bielmo bladego oka, wabiąc mnie figlarnym mruganiem. Czulem doń nieprzepartą sympatię. Wziął mnie między kolana i tasując przed moimi oczyma wprawnościami dłońmi fotografie, pokazywał wizerunki nagich kobiet i chłopców w dziwnych pozycjach. Stałem oparty o niego bokiem i patrzyłem na te delikatne ciała ludzkie dalekimi niewidzącymi oczyma, gdy fluid niejasnego wzburzenia, którym nagle zmętniało powietrze, doszedł do mnie i zbiegł mię dreszczem niepokoju, falą nagłego zrozumienia. Ale tymczasem ta mgiełka uśmiechu, która się zarysowała pod miękkiem i pięknym jego wąsem, zawiązek pożądania, który napiął się na jego skroniach pulsującą żyłą, natężenie, trzymające przed chwilą jego rysy w skupieniu — upadły z powrotem w nicość i twarz odeszła w nieobecność, zapomniała o sobie, rozwiała się.

Mężczyzna, Pożądanie

³⁴kozetka — wąski mebel bez oparcia przeznaczony do leżenia. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sklepy-cynamonowe-sierpien>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, *Sklepy cynamonowe*; Sanatorium Pod Klepsydrą, red. Zofia Smyk, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).